STRAŻNICA POLSKA

REDAKCYA I ADMINISTRACYA
ulica Zielona Nr. 46.
EKSPEDYCYA
w Trafice (Hotel Żorża), róg Placu Maryackiego i ul. Krętej.

DWUTYGODNIK
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.
WYCHODZI CO DRUGĄ SOBOTĘ.

PRZEDPŁATA
w miejscu kwartalnie . . . . . 75. ct.
„ z przesyłką do domu 85. „
na prowincyi kwartalnie . . . 90. „
za granicą „ 1 złr. — „
Inseraty od wiersza (petit.) 5 ct.

Nr. 9. Lwów, 31. Lipca 1880. **Rocznik 2.**

☞ Odzywamy się do poczucia obywatelskiego Szanownych Prenumeratorów prosząc o wyrównanie zaległości, jako też rychłej spłaty za nowy kwartał, gdyż w takich warunkach jak dotąd, nie moglibyśmy zadaniu naszemu odpowiedzieć.

Prenumerata we Lwowie wynosi na „Strażnicę polską“ i „Sztandar polski“ kwartalnie **1** złr. **50** ct — na prowincyi **1** złr. **75** ct. — za granicą **2** złr. a. w. — Rocznie we Lwowie **6** złr. — na prowincyi **7** złr. — za granicą **8** złr. — Oprócz Redakcyi przyjmuje przedpłatę w miejscu Ekspedycya w Trafice (Hotel Zorza) róg placu Maryackiego i ulicy Krętej.

Redakcya.

Lwów d. 29. lipca.

Korespondencye z Warszawy do pism poznańskich donoszą, że zapowiedziany przyjazd Cesarza do Galicyi budzi w sferach moskiewskich niesmak, który jak korespondent do „Dziennika poznańskiego“ pisze: „wyradza każde oczekiwanie niemiłego a przecież nieodwołalnie stać się mającego faktu“. Dziwić się temu właściwie nie można, bo w bezpośredniej styczności granic Kongresówki od Galicyi uwidoczni się wielka różnica odwidzin Cesarza austryackiego w Galicyi, a Cara Aleksandra w Królestwie polskiem, bo już ten sam fakt, że wszelkie takie uroczystości inscenują się pod rządem moskiewskim rozkazami policyjnemi i następstwami tychże, gdyby się ktoś opierał, niepodobny jest jak dzień do nocy, bo w Galicyi przyjmować będzie panującego dobra wola narodu.

Wszystko to, co się dla przyjęcia uczyni, wypływać będzie ze szczerej chęci, nikt tu nie będzie komenderował „Gosudar jediot, urra kryczat!“ nikt nie będzie potrzebował bić pięścią żydów po karkach, żeby krzyczeli.

Jak wielce przyjazd Cesarza do Galicyi obchodzi rząd moskiewski, dosyć powiedzieć, że tenże wysyła do Galicyi całą zgraję szpiegów, aby „podsłuchiwali“, śledzili i tropili każdy wykrzyk, każde słowo, każdy objaw zadowolenia i sympatyi dla koronowanej głowy. Szpiegów tych wysyłają z Petersburga i z Warszawy — warszawscy znani są i gdyby na tem zależało, możnaby podać imiona, nazwiska i rysopisy każdego, część tych wyżłów udała się już do Galicyi Wyjechało również kilku specyalistów dla porozumienia się z moskalofilami galicyjskiemi i dla pokrzepienia ich ducha, szpiegostwo takie nie może nic innego uczynić jak tylko obserwować braci z za Kordonu, którzyby natenczas do Galicyi przybyli. Warszawa radzi, aby dzienniki galicyjskie ostrzeżenia te powtórzyły.

Jakkolwiek sztuczki te moskiewskie są zużyte jak stare szmaty i nie pojmujemy jaką korzyść z nich Moskwa odnieść może, to uwidocznia się jedynie to, że nie odstąpiła ani na krok od dawnych nawyczek i niczego się nie nauczyła. W obec takich faktów ktoby kiedykolwiek chciał marzyć o jakim bądź sojuszu z Moskwą, musiałby się przyznać przedewszystkiem do własnego idjotyzmu, jeżeli niechciałby utwierdzić zdania, że jest człowiekiem złej woli.

Być może, że nadejdą takie okoliczności, Moskwa rozpocznie na seryo konkury do Polaków niosąc na przodzie

LWOWSKA WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH
w auli Politechniki.

III.

Jakkolwiek z początku nie grzeszyła Wystawa ilością nadesłanych dzieł sztuki, to jednak zaczęła się wkrótce wzmagać i obecnie chociaż jeszcze są zapowiedziane nowe nadsełki, sala jest zapełnioną a my z powodu spraw sejmowych, niecierpiących zwłoki nie skończyliśmy jeszcze oceny oddziału pierwszego w sali.

Przychodzimy z kolei do dwóch obrazków rodzajowych, a mamy do czynienia z niezwykłym artystą bo z adeptem Marsa, który pomimo odrębności zawodu wolne swe chwile poświęca sztuce. Artystą tym jest pan c. k. feldmarszałek Friedberg, główno dowodzący we Lwowie. Jakkolwiek niedawno mieszka pomiędzy nami, to przekonywamy się, że jest to niepośledni badacz naszego żywota społecznego i umie patrzeć okiem wytrawnego artysty. Motywa, których użył do obrazów, wzięte są z życia ruchu miejskiego: Z przed Wołoskiej Cerkwi i z ulicy Blacharskiej. Scena pierwszego obrazu przedstawia chwile, gdy różnobarwna grupa wychodzi z cerkwi po nabożeństwie. Typy ludowe z okolic Lwowa, przedmiejskie postacie, żołnierze, rzemieślnicy, słowem żywcem ujęta scena przed kościołem. — Na drugim obrazie mamy prawdziwie malowniczy moment naszego drobnego handlu i przemysłu. Jakkolwiek figury niektóre na pierwszych planach grzeszą może pewną twardością tak w kolorycie jak i w konturach, to jednak całość dowodzi, że artysta ma wiele poczucia i rozumie sztukę więcej aniżeli niejeden artysta z zawodu. Zresztą koloryt ciepły, część architektoniczna dobrze pojęta. Nadmienić wypada, że obrazki tego rodzaju z mnóstwem drobnych figurek nie są tak łatwe do wykonania i potrzeba pewnego zasobu artyzmu, aby nie raziły. Być może, że artyście brak jeszcze tej techniki, która przez lazurowanie nadaje harmonię obrazowi i podnosi jego wartość; pomimo to jednak te dwa obrazki mają nietylko wartość artystyczną, ale zarazem i etnograficzną, ponieważ artysta studiował ubiory nader ściśle w najmniejszych szczegółach, a typy charakterystyczne oddał z zadziwiającą pamięcią.

Następnie wypada nam powitać po raz pierwszy na Wystawie krajowej rodaka artystę zrodzonego na galicyjskiej ziemi, a jest nim pan Paweł Merwart przebywający obecnie w Paryżu. Młody i po raz pierwszy obseła naszą wystawę, przedtem niesłyszeliśmy o nim prawie nic, a jednak potrzeba mu oddać sprawiedliwość, gdyż nie wolno na niego patrzeć protekcyonalnie przez ramię, lecz powitać jako cennego artystę, o którym niema wątpliwości, że zajmie nie lada stanowisko w areopagu sztuki polskiej. Pan Merwart przysłał wprawdzie nie wielkich rozmiarów portret kobiecy pani M. ale takiej wartości, iż znawca musi przed nim stanąć i natychmiast zajrzeć do katalogu. Z takim rysunkiem, z taką techniką i plastyką w portretach nie zawsze się można spotkać. Czy artysta idzie tu za jakimś szczególnym wzorem, którego z nowoczesnych mistrzów, tego powiedzieć nie możemy; jednakowoż śmiemy przypuszczać, że w odrębności techniki i kolorytu jest samym sobą — Merwartem. Portret nie grzeszy nadzwyczajną pięknością rysów, ale ma w wyrazie twarzy wiele miłego i sympatycznego. Oczy pełne

wierzbę poobwieszaną gruszkami, na tę ewentualność powinniśmy być każdego czasu przygotowani. Byłoby więc do życzenia, aby nasze dziennikarstwo w tak właściwym czasie jak jest pora kąpielowa, podniosło stanowczy i wyczerpujący rozbiór tej sprawy.

Dla licznych naszych braci zakordonowych, którzy bawią po za granicami kraju, polemika taka stałaby się nader cenną wymianą myśli, lecz niestety ignorancya nasza spraw krajowych, gdy się znajdujemy po za granicami kraju, przechodzi wszelkie pojęcie niedbalstwa i braku ambicyi narodowej.

Jest to rzeczą wiadomą, że u wszystkich wód, gdzie przebywają nasi rodacy prędzej się spotkasz z dziennikiem chińskim aniżeli wychodzącym na ziemi polskiej.

Nasi wojażerowie nie mają tego poczucia, aby się za granicą upomnieć o międzynarodowe prawa, jest nawet często wielu takich, którzyby się rumienili żądając w miejscach publicznych pism polskich, a przecież z obowiązku przyczynienia się do dobrobytu dziennikarstwa rodzinnego i skorzystania z wymiany myśli, powinni stanowczo rodacy nasi żądać, aby chociaż po kilka pism polskich znajdowało się w czytelniach.

Co tu jednak żądać od zagranicy, gdy nawet u wód naszych krajowych zarządy tychże ignorują prasę krajową, prenumerując zaledwie po kilka pism, a publiczność przebywająca tamże, również się nie upomina, aby zarządy spełniały obowiązek.

Sprawa Zakładu dla sierót i starców w Drohowyżu.

List otwarty

do Jaśnie Oświeconego księcia Jabłonowskiego

kuratora fundacyi ś. p. hr. Skarbka

Jaśnie Oświecony książę!

W ręce Waszej książęcej Mości złożone zostało czuwanie nad fundacyą znakomitego Obywatela, który wolą swą ostatnią polecił stworzyć zakład dla sierot i starców.

Program tego Zakładu ma znaczenie nie tylko krajowe ale europejskie; ku utrzymaniu tego Zakładu złożone są odpowiednie fundusze które najzupełniej umożebniają, aby instytucya ta obywatelska rozwijała się dla dobra kraju w myśl ś. p. Fundatora.

Od lat kilku ukończono świetny gmach w Drohowyżu a do Zakładu tego, zebrano z całego kraju części te sieroty i starców, których tam zastęp w myśl fundacyi ma być umieszczony.

Piewsze mają tam znaleść wiedzę i naukę prawdy, a przedewszystkiem jako przyszli obywatele kraju zdobyć podstawę moralną, starcy którzy spędzili żywot uczciwie i oddali jakiekolwiek usługi krajowi, mają tam znaleść spokojny kątek i byt do końca życia.

Zapytujemy, czy fundacya taka niepowinna być chlubą nietylko już dla kraju, ale i dla całego narodu polskiego. Dalej zapytujemy, czy myśl takiego fundatora nie powinna być świętą dla spadkobierców i wykonawców jego woli.

Czy się tak stało i dzieje, żądamy odpowiedzi w imieniu wszystkich zacnych obywateli kraju.

Zanadto byśmy daleko zaszli żądając odpowiedzi i rozbierając takową, dla czego dotychczas zakład w Drohowyżu unimożebnia umieszczenie takiej liczby sierót i starców jak fundacya żąda, dalej jakie były i są powody, że to żądanie fundatora dotąd nie jest urzeczywistione.

Bierzemy więc sprawę, jak nam się ona fizycznie i moralnie przedstawia a więc pytamy czy zakład w Drohowyżu w takich rozmiarach jak się obecnie znajduje, odpowiada zadaniu?!!

Z przykrością wielką zmuszeni jesteśmy uzasadnić zdanie oparte na sumiennem przekonaniu i dowodach, że zakład ten nietylko iż w całej swej osnowie nie odpowiada zadaniu, bo nie wychowuje sierót na dobrych obywatelu kraju, nie szerzy moralności, niedaje odpowiedniego przytułku starcom, ale przeciwnie zasługuje na nazwę zakładu demoralizacyi i na rodzaj katorgi dla nieszczęśliwych starców, którzy tam zmuszeni byli się schronić.

Od dość dawnego czasu szerzyła się w tym zakładzie tego rodzaju demoralizacya i dotąd nieustannie szerzy, że budzi grozę i wstręt. Zapytujemy, gdzie szukać należy przyczyn tej demoralizacyi.

Oto w nieszczęsnym naszem nepotyzmie i protekcyach, dla których nie wahamy się poświęcić najczystszej i najświętszej sprawy. Już blizko pół roku mija, gdyśmy zawiadomili kuratoryę fundacyi Skarbkowskiej, na której czele stoisz ty Jaśnie O. Książe o tem co się dzieje w zakładzie Drohowyskim; zawiadomienie to nie odniosło skutku.

Podnosiliśmy po razy kilka sprawę tę w głosach publicznych w „Sztandarze polskim" i „Strażnicy polskiej", nareszcie gdy i to wołanie zostało nie uwzględnione — podaliśmy posłom zebranym na Sejmie krajowym memoryał, który jak wiadomo wywarł niezwykłe wrażenie; sprawa ta była roztrząsaną w osobnej komisyi, która jednak orzekła, że Wys. Wydział krajowy, smutne sprawy Drohowyzkie załatwił i uregulował.

Otóż przeciw orzeczeniu temu protestujem, uważając je za niezgodne z prawdą, gdyż ani Wys. Wydział krajowy, ani fundacya Skarbkowska niespełniły obowiązku, demoralizacya w zakładzie Drohowyzkim szerzy się dalej i tak długo się szerzyć będzie, dopóki dotychczasowy dyrektoryat i zarząd nie zostaną zmienione.

Sprawę tę smutną postanowiliśmy wnieść do Świetnej c. k. propuratoryi państwa; zanim jednak do tego ostatecznego kroku przystąpimy, wzywamy Cię J. O. Książe, abyś jako spadkobierca, wykonywujący myśl ś. p. fundatora spełnił obowiązek obywytelski, jaki na tobie ciąży uchylając nieodpowiedni dyrektoryat i zarząd zakładu.

Racz przyjąć J. O. Książe wyraz poważania, z jakim się kreślę

J. N. z Oleksowa Gniewosz,
odpowiedzialny redaktor
„Sztandaru polskiego" i „Strażnicy polskiej."

KORESPONDENCYE.

Warszawa, 23. lipca.

(O stosunkach w Królestwie i o tamtejszych czynownikach).

Jakkolwiek wyznajemy przekonanie, iż objektywność jest najlepszą metodą, jakiej się trzymać powinien sumienny korespondent, jakkolwiek oddanie sprawiedliwości nawet wrogom uważamy za obowiązek — to jednak nie przypuszczamy, aby polskie dzienniki właściwem były miejscem do opiewania przymiotów i zasług rosyjskich czynowników w Polsce, zwykle błędnie dla braku właściwej znajomości faktów ocenianych. My w zaborze rosyjskim nieprzyjemnie jesteśmy dotknięci lekkomyślną galanteryą korespondentów do gazet zakordonowych i pragnęlibyśmy, aby ustąpiła

---

życia wyraźnie mówią — że to nasza Poleczka i że musi nią być osoba serdeczna i poczciwa. Pukle błąd włosów spadających z ramienia na piersi są miękkości jedwabiu. Za taką technikę nie powstydziłby się i Makart. Przynajmniej jeżelibyśmy mieli porównać technikę włosów na portrecie wystawionym w roku zeszłym przez Makarta, hrabianki P. a portretem Merwarta, to ostatni odniósłby bezwarunkowo zwycięstwo.

Drugi obrazek rodzajowy tegoż artysty, wzięty jest z tajników życia paryzkiego. Mamy przed sobą widok na część pierwszorzędnego bulwaru, a chociaż Paryż jeszcze spi, bo to noc późna — a może blizko ranek — to kilka okien i drzwi otwartych, z których bije jasne światło, a we drzwiach żegnają ponętne Nimfy swoich przyjaciół i Adonisów, przekonywamy się natychmiast, że tam po za temi drzwiami i wśród tego blasku panuje hazard żywota.

Na pierwszym planie wśród mroku oświeconego gazem spotykamy się oko w oko z postacią męzką, która podkreśla bilans żywota. Dandys, dżentelmen, któremu by w innem położeniu nie można zrobić żadnego zarzutu, w tej chwili jednak miotają nim takie nieszlachetne uczucia, że nawet w silnym umyśle wzbudzić musi grozę i straszną przestrogę. To szuler, który się zgrał, pod czaszką jego huczy orkan zawiedzionych nadziei a szatan kładzie mu w ucho ultymatum odpowiednie żywotowi, jaki wiódł. Duszno mu, wypadł więc jak szalony z pośród orgji, mnąc w ręku kartę, którą teraz podarł i rzucił pod nogi, rozdarł na piersiach koszulę, pierś się wzdyma a usta nieomal się pienią w rozpaczy. Artysta podając w prawą rękę rewolwer nocnemu bohaterowi, który go ściska konwulsyjnie, popełnił błąd wedle zdania naszego, i że tak powiemy, osłabił niepotrzebnie całe wrażenie, gdyż nikt nie śmiałby wątpić, że wystrzał z krucicy lub nurty Sekwany są nieuniknionym finałem tego dramatu.

Pod względem architektonicznej perspektywy i rozkładu światła niezgodzilibyśmy się z artystą. Brak tam jeszcze zrozumienia i studjów, chociaż pomimo tych wiedz p. Paweł Merwart przedstawia się znakomicie na arenie sztuki polskiej.

Pani Modrzejewska, to najjaśniej świecąca obecnie gwiazda na horyzoncie artyzmu scenicznego, sława jej, którą uzyskała na obydwóch półkulach ziemi, oddziałać musiała i na artyzm malarstwa, toż się też bynajmniej nie dziwimy, że na dwóch adeptów Apellesa czekało natchnienie w portretach znakomitej artystki. Obydwaj przedstawili ją w roli „Julji". Pierwszy p. Mirecki, krakowianin, nadesłał swą pracę na wystawę lwowską. Utwory p. Mireckiego znamy od dawna; próbował on swych sił na rzeczywistem polu malarstwa. Był czas, że wiele obiecywał, usiłował tworzyć obrazy że tak się wyrazimy, historyczno narodowe. Nie uzyskał jednak wielkiego powodzenia. Obecnie gwiazda jego blednie, portret p. Modrzejewskiej nie wytrzymuje krytyki — p. Mireckiego pcha jakaś siła zwątpienia wstecz, a więcej o tym obrazie powiedzieć nie możemy.

Pan Ajdukiewicz, który uzyskał już poważne imię w świecie artystycznym, przedstawił p. Modrzejewską w naturalnej wielkości. Praca ta zapowiedzianą została naprzód, jako wybitnie dodatnia praca artysty, którego każdy obraz budzi ciekawość. Tym razem jednak wyobraznia nasza doznała zawodu, gdyż portret taki popisowy nie jest wykonany i ukończony tak, jak to było w siłach artysty.

Zapatrując się ze stanowiska techniki praktycznej, obraz stosunkowo do wysokości,

sumiennemu, choć przedmiotowemu ocenianiu stosunków, pewni, że wtedy ani osobistości rosyjskie w Polsce działające, ani ich czyny na nieszczęście na pochwały nie zasłużą. — Najwyższem szczytem w tym niezdrowym kierunku są w ostatniej chwili „L i s t y z W a r s z a w y“ pomieszczane w „Czasie“, pisane jak się zdaje, przez autora czasowo bawiącego u nas, kręcącego się wyłącznie w kółkach — nie mogących go dokładnie poinformować o stanie kraju, ani o jego opiniach, pełne efektownych plotek i opacznych sądów a szczególniej owego serwilizmu, który może być właściwem uczuciem pewnych koteryjek naszego miasta, ale n i g d y całości narodu. Logiczne konsekwencye postawionych tam twierdzeń i zapatrywań objawionych, chociaż je autor w ostatnich listach pewnemi restrykcyami ogranicza, dowiódłyby w końcu, iż panowanie Rosyan w Polsce jest jedynie korzystnem dla nas, i że skarzyć się na nie, nie mamy najmniejszych powodów. Dzika represya po 1863 r. miała nas dopiero knutem, zsyłką i konfiskatą nauczyć właściwie polskiego patryotyzmu, zruszczenie szkół miłości dla ojczystego języka, cenzura poszanowania literatury a ruina tysiąców rodzin obywatelskich i urzędniczych ład w nasze majątki i budżeta wprowadziły. Autor podniesienie się Warszawy przypisuje zniesieniu raczej autonomii i sądzi, że z przywróceniem naczelnych władz kraju upadłoby miasto nasze! Czy to czasem nie za bardzo ryzykowne?

Osnuwa autor swe listy na wierze w „dobrobyt Królestwa“ — które przyrównywa nie mniej nie więcej, jak tylko do... Belgii! — Zle szlachetnego korespondenta informowano. O dobrobycie Królestwa dużo się mówi· opierając sądy na pewnych pozorach — niestety w gruncie tak nie jest. Zachwyca nas wystawa tkacka, unosi wystawa koni a w stan błogości wprawiają wyścigi z całą swą świetnością; jesteśmy dumni ofiarnością, która potrafi dać dwakroć stotysięcy rubli na Szlązaków, pięćdziesiąt tysięcy na Sandomirzan a w ciągu dni kilku rozkupić trzydzieści tysięcy „Ziarna“. — Lecz nie postrzegamy, że ten przemysł jest n i e n a s z y m, ale filią fabryk niemieckich, urządzoną c z a s o w o, dopóki trwać będzie kurs obecny rubla i cło w złocie. Tymczasem fabryk w rękach krajowców, zarządzanych przez krajowców i krajowemi prowadzonych kapitałami bardzo mało; tymczasem nasza młodzież technicznie wykształcona nie ma się gdzie pomieścić i panowie inżynierowie, chemicy, technicy wysługują się jako „wolno najemni“ po różnych biurach; bankach itd. Większa własność ziemska w dziesięciu guberniach Królestwa jest przeciążoną hipotecznemi długami a jeżeli w ostatnich czasach spostrzegamy tu niejakie polepszenie, to tylko dzięki ograniczeniu skali życia, jakie z przyjemnością zanotować należy. Nie trzeba się przecież łudzić, jest to dopiero słaby początek. Natomiast w kierunku wykształcenia techniczno-agronomicznego kraj żadnych prawie nie robi postępów, gdyż brak mu szkół, towarzystw, urządzeń kredytowych, mogących ułatwić rozwój. To też obywatelstwo wiejskie w dziesięciu guberniach Królestwa nieznaczny bierze tylko udział w tem, co życie publiczne podtrzymuje. Spróbujcie tylko zaciągnąć graniczną linią po Niemnie i Bugu, a wnet zobaczycie, jak zmaleje życie samego Królestwa. To znaczy· żyjem, bo mamy oddech ku naturalnym naszym przestworom, ku wschodowi, ku Litwie, Wołyniowi, Podolu, Ukrainie. Dopiero polskość, która się tam zatrzymała albo rozlewa, nadaje objawom w Królestwie ową pełnią, ową niezwykłość częstokroć. Tam nasze fabryki sprzedają swe wyroby, tam idą nasze pisma, książki, z tamtąd nadchodzące składki stanowią g ł ó w n ą część ofiar na Szlązaków, Sandomirzan itd., tyle imponujących Galicyanom lub Poznańczykom. Ale oceniając to, trzeba pamiętać, z jakiej to wszystko przychodzi przestrzeni, że składają się na te sumy Polacy od Wisły do Amuru, a ci co zajmują stanowiska w Rosyi — zwykle zajmują miejsca korzystne, są ludzie zamożni i, schylmy przed nimi czoło — ofiarni Trzeba to wszystko wiedzieć, aby sobie zdać sprawę i fałszywię nie przeceniać zamożności Królestwa i nie snuć na tej podstawie wniosków, jak z jednej trony mogących podchlebiać społeczeństwu, tak napawać dumą naszych ciemięzców. — Stan Królestwa wcale nie jest zadowalniającym. Czy kraj w środku Europy, nad jedną z najpiękniejszych rzek, żyzny, zamożny w bogactwa mineralne i leśne — tak powinien wyglądać? Niestety ciąży nad nim żelazna, mściwa ręka, którą władają nierozum i dzikie instynkta tłuszczy wyrzuconej ze swego społeczeństwa do rządzenia nami. Gdzie to autor widzi dobrobyt w Królestwie? Czy między ludem, który z braku oświaty i systematycznego rozpajania marnuje wszystkie swe zasoby, czy w nędznych miastach, które się corocznie stają łupem pożarów, czy w ciemnych nad wszelki wyraz mnożących się i zgangrenowanych warstwach żydowskich jak rak roztaczających nasz organizm ekonomiczny? — Nasze stosunki agraryjne umyślnie zakłócone, nasza oświata obniżona, młodzieży wszędzie wstęp zatamowany, nasze drogi bite zniszczone, spławy zaniedbane, bezpieczeństwo publiczne przez tysiące złodziejów i zbiegów zagrożone; wszyscy jęczymy pod systematem admistracyi zdzierczej i niedołężnej! Czy w takich okolicznościach może postępować kraj, rozwijać się społeczność, kwitnąć bogactwo? Autor, kręcąc się w kołach, którym zawsze było i będzie dobrze, w salonach wysokiej arystokracyi lub plutokracyi, zaglądając do redakcyi niektórych tłustych brukowych dzienników, osądził, że tak jest wszędzie.

Autor mógł być źle poinformowany o stanie Królestwa; lecz co znaczą te hymny pochwalne na cześć warszawskiego czynownictwa? Gdyby w tych wiadomościach nie było więcej plotek ohydnych i fałszów, świadczących, że autor pojęcia nie ma o stosunkach i że jest naiwnym symplicyuszem, smutno robiłoby się na duszy, że coś podobnego z dobrą wiarą pisać można po polsku. — Nie należemy do szowinistów, pojmujemy tych, którzy pragną wynaleść praktyczny modus vivendi między Polakami a Rosyą, którzy się łudzą możliwością zgody... ale chwalić tak napróżno, dla przyjemności chwalenia, rosyjskich czynowników będących narzędziami najhaniebniejszego systematu ucisku i żdzierstwa, tego pojąć nie możemy. — Zeszły z pola hr. Kotzebue wywołuje pod pióro autora prawdziwe dytyramby· „Doświadczony w bojach wojownik“ — tak w 1831 r. przelewał krew naszą! Pojmujemy, że można to przebaczyć żołnierzowi, ale mu to wspominać jako c h l u b ę nam chyba nie wypada! Hr. Kotzebue nie pochwalał polityki względem Unitów — fałsz gruby. Zbyt był ten Niemiec w rosyjskiej skórze mądry, aby odważył się czegośkolwiek nie pochwalać, co zalecało potężne stronnictwo carowej i panslawistów. — Któż to wydawał rozkazy Gromece, kto rozsyłał okólniki, kto z Ryżowym kuł artykuły, do przedrukowania których prasę warszawską zmuszała cenzura, głoszące, jak to dobrowolnie Unici wrócili do wiary ojców!? Kto, — oto Kotzebue. Autor o tych rzeczach nie wie, ale o czem nie wie, tego niech naturalnie niepisze. Niech ktokolwiek pokaże choćby jeden akt urzędowy lub prywatny dobrej woli Kotzebuego? Nie zjadał nas — no bośmy też tak cicho siedzieli, że i wieszatielowi Murawiewowi trudnoby się było do nas przyczepić. — Jakie to ulgi materyalne wyjednał Kotzebue, prosimy o szczegóły. Wszystkie stowarzyszenia, wszystkie banki zatwierdzone były przed 1870 r. za czasów Berga. Później zapanowała najwyższa nieruchomość skutkiem zmiany ministrów. W prywatnem życiu byli Kotzebue i jego małżonka wzorem najbrudniejszego skąpstwa, które w przysłowie weszło w Warszawie. Dyżurnych oficerów uwalnia wspaniałomyślnie do domu w godzinach obiadowych, żeby im nie dać jeść, choć na ten cel osobne pobierał fundu-

---

do rozmiarów naturalnej figury — jest na szerokość za wysoki, jedna stopa więcej, a nie byłby artysta wpadł na tak niefortunną pracę aby p. Modrzejewską w prostopadłej linii narysować od głowy aż do konczyn ogona sukni, jak szparag wybujały. Przypuśćmy, że artystka gwałtem chciała, aby ogon sukni był w całości przedstawiony, to artysta powinien go był w inną stronę zwrócić, a nie puszczać pionowo pod nogi, gdyż kontury takie tworzą nader niesmaczną całość, jakby mechanicznie wyciągniętą dłużyznę do nieskończoności. Widzowi się zdaje, że z tej podstawy powłoki od sukni możnaby postać jeszcze co najmniej o metr wyśrubować.

Dalej portret zdaje się mówić: „patrzcie! patrzcie! — na świetność mego ogona!“ — Jużci tak, artysta nie odpowiedział zadaniu, bo część ta ubioru sprowadzona do pionowej linji pod stopy, nie grzeszy wcale pięknością rysunku ani wykonania o ile draperja torsu, aż po pas traktowana jest pęzlem z troskliwością, o tyle zaniedbał się artysta w całej dolnej części, świetnej białej adamaszkowej sukni. Draperja ma pozór rzeźby pomalowanej olejno. Co się dotyczy samej głowy, takowa nie przypomina nam pani Modrzejewskiej w zupełności ani z życia codziennego wśród białego dnia ani z optycznego złudzenia na scenie. Wyraz p. Modrzejewskiej był w pierwszym i drugim wypadku inny.

Co p. Ajdukiewiczowi przeszkadzało do harmonijnego wykonania całości i p r a w d y, nie pojmujemy, bo nieznamy powodów.

Dodatnią stronę obrazu stanowi przedewszystkiem tło, do którego użył artysta średniowiecznego gobelinu, przedstawiającego sceny z ówczesnego życia społecznego. Pomysł ten nader szczęśliwy, a wykonany pod każdym względem znakomicie, sumiennie, to też więcej zwraca na siebie uwagę znawcy, aniżeli główny motyw obrazu.

Pysznie się prezentuje piękny pies, który się łasi i ociera o suknię artystki, traktowany on jest z werwą artystyczną, jaka właściwą jest p. Ajdukiewiczowi.

Gdyby cały obraz był tak wykonany jak tło i pies oraz inne emblemata nienależące do figury, to utwór ten można by było nazwać świetnym, tak jednak wygląda, jakby malowany był przez p. Ajdukiewicza i jeszcze kogoś drugiego nieobeznanego z warunkami sztuki.

Są na wystawie krajobrazy, obok których przechodząc, opuszczamy zamierzony plan opisu, bo na nas mrugają i wabią ku sobie. Postępując gościnnie, witamy prawdziwe cacka artystyczne, jakie nam nadesłał stary nasz znajomy p. A l e k s a n d e r S w i e s z e w s k i wielce ceniony nietylko przez Polaków ale i przez obcych malarz krajobrazów. Tym razem mamy przed sobą widok z pod brzegów jeziora Aurenzo w południowym Tyrolu. Na pierwszem planie jezioro a dalej gigantycznych kształtów skaliste góry i lodowce, opromienione światłem wieczornej zorzy tak zwane (Alpenglühen). Miniaturowy ten obrazek to perełka salonowa, tak malować umie tylko Swieszewski, a ma on jeszcze jedną wielką zasługę, że nie przecenia nigdy swych utworów a w porównaniu z wielu innymi stawia nadzwyczaj skromne ceny. Dziwić się zaiste należy, że to prześliczne cacko, jakie mamy przed sobą na wystawie oznaczone tylko ceną 75 zł. nie zostało natychmiast zakupione. Pewni jednak jesteśmy, że dyrekcya towarzystwa sztuk pięknych nabędzie obrazek ten bez targu z artystą do wylosowania. Do widoczku p. Swieszowskiego wraca się mimowoli kilkakrotnie a nie można oka nasycić. Artysta, jak nam wiadomo, buja jak motyl po rozmaitych kra-

sze. Nie kupił książki, obrazu, niczego, coby poparciem dla miejscowej sztuki i przemysłu było. Skąpstwa też swego stał się ofiarą. Znaną jest czytelnikom legenda o przyczynach dymisyi Kotzebuego. Długo starając się o ulgi, reformy dla kraju, gdy zobaczył, że nic zrobić nie może, poprosił o uwolnienie... Ile słów, tyle fałszów! Nie trzeba tak ubliżać czynownikowi rosyjskiemu... Podać się do dymisyi z powodu zasad, któż to widział?! Parę lat temu hr. Kotzebue przedstawiwszy wysokie swe zasługi, wyjednał sobie donacyą leśnictwa włocławskiego. Dobra warte milion rubli, przedstawiono jednak carowi, że przynoszą 3000 dochodu. Wiedziano o tem w Petersburgu, że tak nie jest, ale milczano spodziewając się grubej łapówki. Tymczasem skoro darowizna stała się faktem, Kotzebuemu żal było pieniędzy i nic nie dał. Odtąd ministerstwo spraw wewnętrznych stało się najzawziętszym jego nieprzyjacielem, odrzucało wszystko, o co prywatnie i publicznie prosił. Sądził hrabia, że przejedna gniew obecnością w Petersburgu, ale obecność sama bez groszów nic nie pomogła; doszło zaś do tego, że odmówiono mu dymisyi Muchanowa, o co się usilnie starał, że mu odmówiono nominacyi na wyższy stopień ulubionego adjutanta, nareszcie w czasie 60-letniej rocznicy, pod pozorem, że istnieje ukaz tylko 50-letnią obchodzić dozwalający, nie przysłano mu ze strony rządu żadnego odznaczenia i reskryptu. To przepełniło czarę osobistych goryczy i „mały staruszek" prosił o uwolnienie. Tak wygląda w rzeczywistości legenda. Kto przypuszcza inne w czynowniku rosyjskim względy, ten chyba nie zna jego natury, poglądów, sprężyn kierujących tym światem. Dla tego też nadzwyczaj nas śmieszą takie zapewnienia korespondentów: co p. Wsiewołożski powiedział, że gdyby zmieniono w teatrze język polski na scenie—on się poda do dymisyi! Błogosławiony, kto uwierzy! Języka rosyjskiego nie wprowadzą do teatru nie dlatego, żeby pp. Wsiewołożski lub Muchanow oponowali, ale dlatego, że od dołu do góry są przekonani o bezpłodności podobnego środka. Muszą się ci panowie, jeśli czytają podobne o sobie bajdy, serdecznie śmiać z korespondentów. Czego też nie naprawiono na conto p. Muchanowa: on strzegł nienaruszalności polskiego języka, dżentelmen ten utrzymywał na swych barkach byt sceny człowiek delikatny, pilny rzeczywisty filar! A tymczasem naga prawda jest taką: co dla dramatu zrobiono z początku za życia jego żony pani Muchanow, to w dalszym ciągu starał się odrobić sumiennie.

Przez uwolnienie Modrzejewskiej rozbił trupę dramatyczną tak, że nie jest zdolną przedstawić żadnej sztuki serjo, o operze zaś toć i mowy być nigdy pod Muchanowem nie mogło. Ten dżentelmen był typem rzeczywistego czynownika rosyjskiego: zazdrosny o swą władzę nic nie robił i innym robić nie dał, pragnąc, żeby wszystko od niego wychodziło; próżniak i kobieciarz patrzał na stosunki teatralne oczami ulubionych artystek; grzeczny w słowach, był brutalnym w czynie. Gdy w Towarzystwie muzycznem, którego był prezesem, nie wszystko szło podług woli jego zauszników, złożył prezesostwo i prześladował potem Towarzystwo, odmawiając orkiestry i zakazując spiewakom brać udział w koncertach. — Nie wahał się wtedy zniżyć do intryg i wysadził z zajmowanego w salach redutowych lokalu Towarzystwo, które na tem 4000 rs. rocznej straty poniosło. Oto dżentelmen któremu autor „Listów w Czasie" rzuca tyle kwiatów pod stopy. — Jeszcze jeden szczegół. W Petersburgu w ministerstwie wojny od dawna pragniono pozbyć się Kotzebuego, gdyż według mniemań Milutyna karność w armii stojącej w wojennym okręgu warszawskim mocno się rozprzęgła. Generał Albiedyński ma pod tym względem posiadać daleko wyższe przymioty; utrzymywał wojska okręgu wileńskiego sprężyściej. Lecz za to pod względem cywilnym nie lubi się wtrącać do interesów, co zostawia większą swobodę gubernatorom, — a taki obrót spraw jest dla kraju niekorzystny. Lecz o znakomitych przymiotach gen. Albiedyńskiego, który nawet w Tuilleriach za czasów Eugenii kotyliony prowadził, o zasługach barona Medema, o prezydencie Starynkiewiczu, o dżentelmenie Buturlinie, o innym mężu Szabelskim w Kaliszu itd. itd., o spodziewanych wyborach na „głowę" warszawskiego pomówimy bliżej w przyszłym liście dopiero. *(Dzien. Pozn.)*

Wiadomości z Ziem Polskich.

Ortografija niemiecka jest rzeczą bardzo ładną, jeżeli tylko Niemców dotyka. My przecież Polacy prosimy, aby nas tym sposobem nie uszczęśliwiano, bo my mamy swoją własną ortografiją polską. Tymczasem donoszą nam, że rząd pruski, a nawet pan minister Eulenburg, który nie stoi na czele ministerstwa oświaty, tylko spraw wewnętrznych, któryby przeto sprawę pisowni wiosek naszych mógł zostawić nietkniętą, wydał dekret niezmiernie ciekawy, ale zarazem dla Polaków bolesny.

Hrabia Stanisław Czarnecki wraz z innymi posiedzicielami dóbr powiatu krobskiego, wniósł zażalenie do Berlina, przeciwko germanizacyi nazw odwiecznych polskich miejscowości, żądając zarazem jak najsprawiedliwiej, żeby pisownia w księgach hypotecznych zawarta została uszanowaną i nietkniętą, a nie przeinaczaną.

Tymczasem pan minister wniosku nie uwzględnił, lecz przeciwnie przechylił się na stronę władz powiatowych, które zadecydowały następujące dziwolągi ortograficzne dla wiosek naszych.

Odtąd wolno przeto władzom powiatowym pisać:

tak	zamiast
Gatsch	Gać.
Czeluschtschin	Czeluścin.
Chocischewitz	Chocieszewice.
Wilkonitschki	Wilkoniczki.
Bartoschewitz	Bartoszewice.
Gromkowo	Grąbkowo.
Kossowo	Kosowo.
Otschkowitz	Oczkowice.
Sulkowitz	Sułkowice.
Podrzetsche	Podrzecze.
Dzientschin	Dzięczyn.

Pan minister ma słuszność, że nie jest to germanizacya tak radykalna jak Osieczny na Storchnest, Chodzieża na Kolmar, Chociczy na Falkstätt itd., ale zawsze jest to przemiana, która germanizatorów nie zadowolni, a Polaków obraża. Pan minister przyznaje, że do zmiany nazwiska potrzebne jest zezwolenie królewskie, utrzymuje przecież, że powyżej wymienione przepisanie nazwisk nie jest zmianą; i takim tłómaczeniem dekret swój od sankcyi królewskiej usuwa.

Nie wiemy, czy panowie dziedzice zadowolnią się odpowiedzią p. ministra, czy też może nie udadzą się do Najwyższej Instancyi, tj. do samego Króla Jegomości, który o tych przemianach nazwisk ostatecznie sam jeden rozstrzyga. Uzasadnić by rekurs swój mogli bardzo łatwo, po prostu tym, że zmiany te niszczą historyczne pochodzenie i zgodność z dokumentami hipotecznymi, a potem że są i nielogiczne. Nie zechce bowiem p. minister twierdzić, żeby polskie ść w wyrazie Czeluścin, dało się w języku niemieckim wyrazić przez schtsch, gdyż to znaczyłoby Czeluszczyn, a nie Czeluścin, więc przepisanie niemieckie nie jest dosłowne; a z drugiej strony, jakim prawem przy wyrazie Chocieszewice ucina władza powiatowa samogłoskę e, pisząc Chociszewitz; wszak tu jest więc zmiana wice na witz.

Nielogicznie jest dalej, żeby brzmienie na cz początku Czeluścina zatrzymywać nietknięte i w niemieckim Czeluschtschin, albo brzmienie rz we wyrazie Podrzecze pisać znowu przez rz, a nawet Dzięczyn pisać po niemiecku Dzientschin, bo żaden Niemiec naprzykład Nadreńczyk, nie umie czytać ani cz, ani dz, ani rz polskiego.

---

jach; wiadomo nam i o tem, że oprócz korony zwidził i Tatry, ale jakżeby był pożądany w Galicyi wchodniej, Karpatach i na Podolu. Znając jego usposobienie i łatwość odczucia piękna przyrody znalazł by tu dla siebie, dla ducha swego najobfitsze żniwo a oddałby tem wielką przysługę krajowi, że zapoznałby i obce społeczeństwo z pięknościami przyrody karpackiej.

Obok widoczku p. S. umieściła dyrekcya kilka innych równie świetnych cacek artystycznych pędzla Henryka Grabińskiego. Nieustannie można spotkać przed temi widoczkami kłócących się widzów, który piękniejszy czy „Młynek" nad kamienistym strumykiem górskim, czy Kapliczka nad drogą w Szczawniku. Spory te dotąd nie zostały jeszcze stanowczo rozstrzygnięte i w rzeczy samej względna jest ocena, który z tych widoczków jest piękniejszy. U dołu mamy przed sobą trzeci krajobraz „Staw Sobka pode Lwowem", który może jest mniej ponętny, ale odtwarza ze ścisłą prawdą charakter miejscowości. Mniej malowniczy jest widoczek „Powodzi", aczkolwiek nie brak mu zalet artystycznych.

Dalej spotykamy się z większych rozmiarów płótnem p. H. G. Późnym wieczorem wschodzi po za wodami księżyc w pełni i oświeca wody powodzi oraz krajobraz z tejże się wynurzający. Koloryt silny i efektowny, a efekt natury wybornie podpatrzony. Oprócz tego nadesłał jeszcze artysta „Widok nocny" rysunek kredą, któremu nietylko my, ale i inni nie szczędzą dobrze zasłużonych pochwał. P. H. G. pod względem cen swych utworów idzie ręka w rękę z p. Swieszewskim, nie kładzie idealnych cen, to też znajduje na prace swoje zawsze nabywców. Zaliczamy go do najsumienniejszych i najpłodniejszych malarzy widoków, które, gdyby wystawiał po za granicą kraju, zyskałyby zapewne uznanie wielkie.

Naprzeciw widoków, o których mówimy, umieszczona jest większych rozmiarów akwarella p. Franciszka Tepy, który położył wielkie zasługi nietylko w ogóle jako znakomity i pierwszorzędny akwarelista portretowy, ale ze względu prac etnograficznych, typów naszego ludu nie znalazł dotąd rywala. Prace p. F. T. cenione są w Europie. Tym razem sprawił lubownikom sztuki prawdziwą niespodziankę, dając na wystawę widok ze swych podróży po Wschodzie, „Spoczynek Arabów karawanseraju nad brzegiem morza Śródziemnego u stóp Libanu", szkic z natury. Możemy śmiało wyrzec, że akwarella ta jest jedną z najświetniejszych prac jakich artysta dokonał. Ileż w niej ciepła, ile siły kolorytu, ile swobody prawdziwie artystycznej! Utwór ten przynieść może w każdem muzeum zaszczyt sztuce polskiej, a cena 250 złr. jest również sumienna. Gdziekolwiek indziej po za granicami kraju akwarella ta nie pozostałaby jednego dnia bez nabywcy.

Oprócz tej akwarelli mamy jeszcze prześliczny portret chłopczyka, a drugi stanowi nietylko wartość artystyczną, ale należy do ostatniej epoki naszych dziejów. Jest to portret śp. Karola Forstera, wielce zasłużonego pisarza dziejów epoki listopadowej. Portret ten wykonał artysta, gdy śp. Karol Forster przybył na krótki czas do Lwowa podczas bytności Siemiradzkiego. P. Tepa jakby przeczuwał, widząc tego zacnego starca tułacza, że nie wolno odwlekać, ale korzystać należy z okoliczności, uprosił go więc i wykonał portret. We dwa tygodnie później Forster już nie należał do żyjących.

(C. d. n.)

Na nie się tedy wszystkie gramatyczne wywody nie zdadzą, bo ani Niemcy ani Polacy z nich kontenci nie będą, a co się ludność jątrzy, to się jątrzy.

Dla wygody władz prowincyonalnych i zasad ortograficznych niemieckich gotów by się kiedyś właściciel dóbr Pakosławia widzieć napisany literami Tscharnetzky, a wtedy by myślano, że wyspę Blsen już przed dwustu laty generałowie pruscy zdobywali.

Żart na stronę, jedno z dwojga: albo urzędnicy pruscy nami rządzący, od góry do dołu muszą się nauczyć sylabizować i czytać po polsku, albo grozi nam Polakom „przepisanie“ wszystkich nazwisk na niemiecką pisownię, z rezultatem zatarcia nawet na kartach geograficznych bytu naszego politycznego, tak, że czytając Strehlitz nikt nie będzie myślał, że to polskie Strzelce, tylko jakaś wieś meklemburgska.

Wszystkie tego rodzaju rozporządzenia i dekreta utwierdzać w nas muszą tylko to niezłomne przekonanie, że chociaż coś nie stoi w Landrechcie jako Gesetz, to jednak jako Grundsatz na mocy prostego ministeryalnego dekretu da się u nas praktykować.

W końcu dodajemy, że pan minister nikogo swymi wywodami nie przekonał i że jego rzekome przepisanie nie może się nazywać inaczej, jak zgermanizowaniem nazw polskich miejscowości.

Moskale a Oxus. Wspominaliśmy już byli o tym przed rokiem i dawniej, że Oxus czyli dzisiejsza rzeka Amu Daria wpadał dawniej do morza Kaspijskiego, a przed stu laty ostatecznie skierowany do jeziora Aralskiego. Przez to skierowanie powstały niezmierne stepy piasku i soli od morza Kaspijskiego, aż do górnej połowy tej rzeki, stepy nieprzebyte, niegodziwe i dzikie.

Moskale namówili hana Chiwy, że w roku 1878 przekłuł kilka tam sztucznie nasypanych, tak że nieco wód z Amu Darii zlało się w dawne koryto. W roku 1879 przekłuto więcej tam, tak że dziś wody Oxusa sięgają starym korytem już do stacyi Kunga Urgencz, czyli do stolicy dawniejszych panów chowaresneńskich.

Jeżeli rzecz pójdzie w roku bieżącym dalej, to Oxus zrobi sobie wnet nowe koryto, zwłaszcza że deszcze wpadające w większe wody, już nie zwykły ginąć tak, jak na pustym piasku, tylko podnoszą zawsze stan koryta.

Tą to drogą wodną chcą Moskale potem zdobywać Indye angielskie. *Gon. Wielk.*

Pan hr. Stanisław Plater zaproponował wierzycielom swoim a przeto i Tellusowym, sposobem akordu ryczałtową sumę 10.000 m. Jest to coś około $^1/_2$%! Sprawa ta toczyć się będzie przed sądem wolsztyńskim d. 9. sierpnia b. r. Kawentem pana hrabiego jest Michaëlis A. Katz, żyd z Poznania, który jako były dyrygent interesu komisowego Tellusa, sam jeden pono świetny na Tellusie zrobił interes.

Sztandar Pozn.

Z Rady miasta Lwowa.

Posiedzenia z dnia 29. lipca.

Przed rozpoczęciem spraw, jakie były na porządku dziennym, prezydent dr. Gnoiński oświadczył co następuje:

„Na poprzedniem posiedzeniu zapadła uchwała wzywająca mię, abym wpłynął na tutejsze dzienniki, iżby te sprawozdania z posiedzeń świetnej rady miejskiej podawały w sposób objektywny. Zadaniu temu zadość uczynić nie mogę, raz dla tego, że nie zgadza się ono z przyjętym obyczajem, które czynności ciał reprezentacyjnych pozostawia zupełnie swobodnemu ocenieniu ze strony prasy, a powtóre każda mylka, jakaby w tych sprawozdaniach zdarzyć się mogła, może i powinna być sprostowaną. Proszę zatem, abyście Panowie to oświadczenie moje raczyli przyjąć łaskawie do wiadomości. (Część członków rady, którzy nie podpisali wniosku przyjmują oświadczenie to oklaskami).

Odczytano podziękowanie m. Rozdołu za udzieloną zapomogę pogorzelcom 500 złr.

Panu Tatomirowi udzielono urlop 6cio tygodniowy. Odrzucono rekurs w sprawie budowniczej Kory Schreiber, właścicielki realności pod l. 598$^3/_4$ zgodnie z wnioskiem Magistratu. Tak samo odrzucono rekurs współwłaścicieli realności pod l. 212$^3/_4$ Gedalego Kretz i Dawida Botwina i rekurs Rafała Rosenberga. Wnioski w sprawie legatów, uczynionych przez śp. Franciszka Cetnarowicza i Andrzeja Badera na rzecz Zakładów wiejskich przyjęto do wiadomości.

Wniosek w sprawie nabycia realności pod l. 133 i 134$^1/_4$ na rozszerzenie ulicy Żółkiewskiej, spowodował dłuższą dyskusyę, której rezultat był tego rodzaju, aby Magistrat rozpoczął traktowanie o nabycie tej realności, lecz tylko w takim razie, jeżeli wymagania właścicieli będą przystępne, gdyż byłoby do życzenia aby ulica Żółkiewska w tem miejscu mogła być rozszerzoną. Gdyby jednak żądania były wygórowane, w takim razie Magistrat wstrzyma się z nabyciem tej realności, aż do chwili, gdy nowa ustawa wejdzie w życie, która w podobnych wypadkach jak powyższy dozwala na wywłaszczenie.

Referenta Supińskiego zastąpił pan profesor Radziszewski referując, w jaki sposób i o ile przyczynić się ma gmina do założenia projektowanej szkoły garncarskiej we Lwowie.

Gmina uchwaliła na ten cel po 1000 zł. przez lat 10, z tym jednak warunkiem, jeżeli ze szkołą połączony będzie praktyczny warstat garncarski, a jako język wykładowy, przyjęty będzie język polski.

Profesor Zacharjewicz wniósł poprawkę do tej uchwały, żądającą, aby gmina oświadczyła gotowość ponoszenia jeszcze większych ofiar, jeżeli jej będzie przyznany decydujący głos przy organizacyi szkoły garncarskiej. Poprawka ta upadła. Nadmienić wypada, że dr. Ciesielski podnosił i tę okoliczność w powyższej sprawie, że szkoła garncarska w Kołomyi dla tego się nie może rozwijać, jakby tego życzyć sobie należało, ponieważ nauczyciel nie posiada znajomości języka krajowego.

Następnie dr. Blumenfeld referował w sprawie regulaminu reorganizacyi czynności miejskich.

Na posiedzeniu z d. 25 maja b r. uchwaliła Rada na wniosek p. Richtmana i współkolegów, ażeby na podstawie §. 35. przystąpić do reorganizacyi regulaminu czynności gminnych. Wniosek ten odesłano do sekcyi V. Ponieważ jednak sposób reorganizacyi czynności gminnych nie jest określony, referent stawia wniosek wybrania komisyi, któraby się zajęła tą sprawą. Poprzednio już był taki wniosek w Radzie 30. września 1877 roku, i wtenczas wybrano komisyę składającą się z pp. Dąbrowskiego, Piątkowskiego Fel., Wiedenia i bar. Kannego. Referent wnosi, aby komisyę wybrano z siedmiu członków.

Rada uchwaliła dalej zmienić dotychczasową formę kontraktów, które obowiązują gminę.

W sprawie wniosku radnego Jägermanna z d. 29. maja br. o zmianę regulaminu posiedzeń rady uchwalono większością głosów przejść do porządku dziennego. Na wniosek radnego Fr. Dülla w imieniu sekcyi drugiej uchwaliła Rada 200 zł. jako subwencyą na urządzenie targu zbożowego, który się odbędzie w październiku.

Rada odrzuciła rekurs w sprawie p. Kwiatkowskiego, dzierżawcy kawiarni teatralnej, któremu urząd budowniczy nakazał znieść werandę kwiatową, ustawiony na chodniku przed kawiarnią. Sprawa ta wywołała dłuższą dyskusyę, lecz jak się przekonano były głosy żądające udzielenia pozwolenia. Lecz gdy się przykonano, że publiczność wychodząca z teatru mianowicie podczas deszczu, gdy dorożki zalegają ulicę wzdłuż chodnika przejście pomiędzy werandy a dorożkami jest zatamowane publiczność narażoną jest na wypadki.

Rada uchwaliła, aby polecić p. Kwiatkowskiemu zniesienie tej werandy, a natomiast pozwoliła na urządzenie za opłatą takiejże werandy od placu Gołuchowskiego.

Radny Jaśkiewicz przedstawia wniosek w sprawie fundacyi śp. Seweryna Fiutowskiego dla rzemieślników i przemysłowców, Fundacya ta wynosi 15.000 zł., ponieważ jednak legat jest niejasny, uchwaliła Rada oddać takowy sekcyi prawniczej.

Kronika.

Pan Henryk Grabiński były profesor szkoły sztuk pięknych w Krakowie a zamieszkujący we Lwowie od dłuższego czasu, udał się w Karpaty, gdzie do studiów swych wziął za podstawę trakt wiodący od Delatyna ku granicy węgierskiej, a więc malowniczy Delatyn, Dorę, Jamnę, Mikuliczyn, Tatarów i Jablonicę. Ta prawdziwie urocza i wspaniała widokami okolica po nad Prutem, nietknięta prawie była dotąd przez naszych artystów i jest dla nich „terra incognita“. Cieszymy się więc już naprzód, że taki znakomity malarz krajobrazów, jakim jest p. Henryk Grabiński, zaznajomi szerszą publiczność z pięknościami widnokręgu Czarnogórskiego.

Na wtorkowem przedstawieniu Siedleckiego sztuk kuglarskich, aczkolwiek teatr nie był przepełniony, widzieć jednak było można wybitnych członków naszej dyplomacyi, która po trudach sejmowych rozpoczęła używać wakacyi.

Kulparków. Rubryka ta w naszem pismie nie tak prędko zejdzie z porządku dziennego, a to z tego powodu, że u nas weszło w zwyczaj niegojenia radykalnego ran społecznych, ale tylko przykładanie wątpliwej wartości plastra, bez względu, czy takowy pomoże choremu ciału lub nie.

Gdy system protekcyjny znajduje gorącą opiekę i z dziwną odwagą broni swoich klientów, to wtenczas nawet tak poważne ciało jak „Sejm krajowy“ musi zamilknąć, bez względu czy ja kakolwiek sprawa oddziaływa ze szkodą dla kraju i czy przynosi moralne i materyalne straty. Tych wszystkich czynników nie bierze się w rachubę, bo nuż protektorowie gotowi się obrazić i zażądać terminatki ze służby krajowej.

W skutek takiego postępowania niepraktykowane czyny w Zakładzie kulparkowskim bynajmniej nie zostały uregulowane przez usunięcie p. dra Marescha, bo jakkolwiek stanowisko dyrektora zastąpione zostało p. dr. Neuserem z Krakowa, o którego charakterze, zdolnościach oraz poczuciu ludzkiem, mamy jaknajlepsze wiadomości, to już dziś możemy powiedzieć naprzód, że jego najszczersze chęci obrócone zostaną w niwec i p. dr. Neuser za zbyt szybko się rozczaruje i przekona, że w tych warunkach jak dotąd głównym obowiązkom swoim jako lekarz psychiatra, nie będzie mógł zadosyć uczynić. Widocznie, że p. dr. Neuser był mylnie poinformowany o stosunkach kulparkowskich, bo inaczej nie byłby nawet prowizorycznie brał na swe barki tak wielkiej odpowiedzialności.

Dyrektor psychiatra w takim Zakładzie obłąkanych jak kulparkowski, to nie jest: „ein Mädchen für alles“, a więc żądać od niego, aby był dyrektorem całego zakładu, głównym lekarzem, administratorem, jest to taka aromalia, jaka się tylko u nas praktykować może. Kto ma jakiekolwiek pojęcie, jakie obowiązki

ciążą na tym, kto ich się podejmuje, ten uwierzy, że dyrektor w Kulparkowie żadnemu zadosyć nie może uczynić.

Z powodu takiego ustroju, cel zakładu zostaje zupełnie chybiony, a kraj musi bezwarunkowo ponosić dotkliwe moralne i materyalne straty.

Mianowicie przy samowoli, jaką się protegowani w Kulparkowie powodują, stanowisko „dyrektora“ — staje się nader względnego znaczenia. Przekonanie nasze możemy poprzeć przykładem, i tak: zachciało się panu rządzcy w Kulparkowie jakiegoś murowanego „basenu“ czy dla ozdoby, czy dla potrzeby, tego już nie wiemy, dosyć, że się zachciało p. rządcy basenu, a więc powód dostateczny, aby został zbudowany. Zkąd p. rządca wziął materyału o tem nam również nie wiadomo, ale za to wiemy o tem, że pan rządca zawezwał biednego mularza z Wólki, tegoż zgodził i polecił wybudowanie basenu. Mularz niepodejrzywając nawet, aby budowa ta polegała tylko na fantazyi p. rządcy przybrał pomocników i jak zwyczaj, aż do wykończenia budowy basenu pokrywał biedak koszta budowy.

Basen został ukończony — ale biedny murarz nieodebrał od p. rządcy zapłaty. Gdy się następnie udał do Wydziału krajowego, tam mu powiedziano, że Wydział o niczem nie wie, żadnego basenu budować nie polecał, a więc też płacić nie myśli. Cóż się dzieje dalej? — Oto robotnicy, których biedny murarz zawezwał do pracy, domagają się zapłaty, biedak zaś ten zmuszony był nietylko krowę, jaką posiadał sprzedać, ale wszelkie ruchomości jakie posiadał, lecz to wszystko nie wystarczyło, aby robotników wypłacić. Wszelkie prośby i błagania biedaka o sprawiedliwość zostały nie uwzględnione, pan rządca kpi sobie z cudzej nędzy.

I cóż się stało z biedakiem murarzem? oto nic więcej, jak tylko że z rozpaczy widząc się zepchniętym w nędzę ostatnią, zaniemógł, dostał rodzaju obłąkania, w skutek czego oddany został do głównego szpitala na oddział obserwacyjny.— A co się stanie z żoną i dziećmi tegoż? —

Pan rządca spi spokojnie, bo wie że „protekcya“ — osłoni go nietylko przed takiemi bagatelami. Zresztą Zakład kulparkowski, przyozdobiony został **bez kosztów**, basenem.

„Niech żyje protekcya!“

Weteran z r. 1831 dobrze zasłużony Ojczyźnie, który nietylko krew ale i mienie oddawał dla wspólnego dobra, przyjęty w roku zeszłym do Zakładu dla starców i sierót w Drohowyżu, zmuszony był Zakład ten opuścić, a to z powodu poniewierania, jakiego ze strony Dyrekcyi na starość tamże doznawał.

Weteran ten znany nam od lat 35, jako człowiek prawy, spokojny, zasługuje ze wszech miar na poparcie. Żąda on tylko spokojnego kącika i łyżki strawy, za co według sił swych starać się będzie dobroczyńcy być użytecznym.

Odzywamy się w tym względzie do poczucia Obywateli-Rodaków.

Wystawa etnograficzna w Kołomyi, która jak twierdzić można, otwartą zostanie w pierwszej połowie września, a nawet już około 10go, obiecuje, że będzie w swoim rodzaju świetną. O doniosłości tejże byłoby zbytecznie mówić, gdyż jest rzeczą dowiedzioną, że nic tak nie obznajamia pod każdym względem z krajem jak wystawy etnograficzne a dla nas szczególniej, którzy usiłujemy podnieść przemysł krajowy a mianowicie w dziale przemysłu drobnego. Wystawa kołomyjska wskaże na konieczność, aby i inne części kraju urządziły następnie takie zbiorowe przedstawienia. Dotąd jakkolwiek od kilku lat przemysł domowy jest na porządku dziennym, część wschodnich Karpat i ościennych im powiatów najmniej była znaną, chociaż ta część kraju zasługuje na szczególną i troskliwą uwagę, gdyż prędzej czy później musi się tam rozwinąć i to najsilniej nasz przemysł krajowy. O wyniku wystawy nie możemy ani chwili powątpiewać, gdy na czele komitetu wykonawczego stanął sprężysty i ruchliwy obywatel p. Przybysławski, któremu nie brak szerszego poglądu ku spełnieniu obowiązku. Jeżeli inni członkowie komitetu i obywatelstwo sześciu powiatów, przyłączonych do okręgu wystawowego, z taką samą gorliwością pracować będzie, to wystawa kołomyjska osiągnie wielkie znaczenie. Niewypowiedzianie wdzięczni jesteśmy p. Przybysławskiemu, że tenże wpadł na szczęśliwą myśl i zaprosił do urządzenia wystawy taką powagę, jaką jest znakomity i znany etnograf Kolberg, który obyty z warunkami wystaw etnograficznych wielce się przyczynić może do prawidłowego zestawienia.

Wprawdzie wystawa etnograficzna w Kołomyi walczyć musi o dostatek odpowiedniego funduszu, obowiązkiem więc jest wszystkich obywateli dobrej woli, a mianowicie przemysłowców, aby komitetowi przyjść z datkami w pomoc, mianowicie nie szczędzić grosza na rozkupienie jak największej liczby losów loteryjnych. Można twierdzić, że jeżeli wystawa otwartą będzie jak to jest zamierzone, podczas przyjazdu cesarza, to udział publiczności całego kraju będzie bardzo znaczny. O przygotowaniach wystawowych i pomysłach odebraliśmy bardzo ciekawe wiadomości, ale ich nie podajemy, aby się stały niespodzianką.

P. Zygmunt Gawarecki, literat, znany ze swych znakomitych pism nietylko o rolnictwie, ale i beletrystycznych przybył do Lwowa i zamyśla dłuższy czas tu zabawić.

Przypominamy, że jest on autorem „Pamiętników agronoma o oblężeniu Paryża“, które po wojnie pruskiej wzbudziły takie zajęcie w pismach warszawskich.

Zdolny, sumienny i sprężysty agronom (Poznańczyk) posiadający jak najlepsze polecenia od obywateli wielkopolskich, szuka posady rządcy dóbr lub kontrolora. Bliższa wiadomość w redakcyi „Strażnicy polskiej“.

Przewodnik przemysłowo-handlowy po Lwowie.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny I. N. z Oleksowa Gniewosz.

Z drukarni Anny Waydowicz (pt. Poremby), Rynek l. 9.

Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.

Dodatek do Nr. 9. „Strażnicy polskiej“.

Rada miasta Lwowa
i dziennikarstwo lwowskie.

Że Rady miasta są dla tych miast, które przedstawiają, nader ważnym czynnikiem do rozwoju oświaty, przemysłu, handlu i w ogóle tego, co nazywamy dobrobytem społecznym, tego nikt nie zaprzeczy, jeżeli duchem Rady powoduje sumienne poczucie obywatelskie a nie prywatne.

Poczucie to jest zbawiennem dla wszystkich miast i miasteczek w ogóle, a przedewszystkiem jest wielkiej wagi dla pierwszorzędnych miast w kraju — stolic, gdyż stało się to już prawie drugą naturą społeczną, że się biorą wzory z głównych ognisk życia. A że rzesza społeczna jest wszędzie i zawsze jednakową, to też przyswaja sobie zwykle podług pierwowzorów stolicy nie tylko dodatnie, ale i ujemne postępowanie. Moglibyśmy naliczyć niezliczoną ilość przykładów, że sprawy dokonane w stolicach kraju, kopiowane bywają ze ścisłością fotograficzną, nawet w najpośledniejszych prowincyonalnych miasteczkach; pojmie więc każdy, jak się każda Rada miasta stolicy liczyć powinna z tem co czyni, aby zamiast dobrego przykładu nie uprawiać społecznego zepsucia.

Niestety u nas, gdzie pojęcie o karności obywatelskiej zeszło do nader względnych wyobrażeń, gdzie zamiast pielęgnować to, co tradycya narodowa jako zbawienne nam przekazuje, lub przyswajać sobie z innych krajów i narodów to, co nam jedynie zdrowie moralne i materjalne dać może, zbaczamy z tej drogi uczciwości i stajemy pod sztandarem, który zbrudzony i skalany szerzy zarazę w naszem społeczeństwie.

Że Rada stołecznego miasta Lwowa ma nader ważne posłannictwo do spełnienia, a przynajmniej bardzo wiele zdziałać może dla dobra spółobywateli; że jej autonomiczne prawa rozwiązały ręce i ułatwiły znacznie działalność, jest to faktem, który się zaprzeczyć nie da.

Lwów jako stolica kraju w obec warunków materyalnych, jakie posiada, pomimo niezwykłej wysokości podatków i innych ciężarów, jakie ponosić musi, mógłby dzisiaj przedstawiać inny żywot i innym świecić krajowi przykładem. Nieda się albowiem zaprzeczyć, że obywatelstwo nasze, składa się *przeważnie* z najuczciwszych i patryotycznych elementów, które gdzie tylko idzie o dobrą sprawę, trafiającą mu do serca i przekonania, nie zawahają się ani na chwilę, aby nieść ofiarność i pracę na ołtarz wspólnego dobra. A jeżeli kiedykolwiek da się słyszeć fałszywy głos poruszonej struny, to takowy rodzi jedynie nieuczciwość i zepsucie, jakie się u nas pragnie usadowić i opanować wszelki ruch czy to umysłowy, czy materyalny, a działający w dodatnim kierunku.

Wszelkiego rodzaju gangrena, jaka się rodzi, wypływa z kosmopolityzmu zachodniego, uważając kraj nasz za żyzną glebę zdobyczy i usiłuje, zadając truciznę kropla po kropli, sprowadzić pojęcia o prawdzie katechizmu narodowego i w ogóle o tem wszystkiem co godziwe i niegodziwe do usunięcia wszelkich przeszkód, aby resztę żywotnych soków z nas wycisnąć. Działalność ta nie jest tak trudna, a bałamuci nawet ludzi ostrożnych i tych, których o nieuczciwość jeszcze nie można posądzić, jeżeli zważymy, że siła kapitału uzyskała taką władzę, że przed nią bijemy czołem.

Smutne to, lecz prawdziwe, że pojęcia nasze zostały tak obałamucone, iż cyfra kapitału, jaką ktoś przedstawia, bez względu na to, w jaki sposób został on zdobyty, daje już tem samem właścicielowi patent na przewodnika w obywatelskim życie.

A czego nie może dokonać świętoszkostwo czyli hipokryzya, tego dokonuje nieubłagana przewaga kapitału i groza, jaką ten wszechwładny pan daje uczuć biedniejszemu.

Niezwykłe katastrofy materyalnego upadku usiłują rozrzedzić sumienie i przekonać społeczeństwo, że tylko ten, co posiada kapitał, jest uprawniony do przewodnictwa, a reszta winna bezwarunkowe posłuszeństwo, jeżeli nie chce wieść żywota w nędzy i ginąć bez ratunku.

Gdy jednak w społeczeństwie naszem zepsucie moralne nie wszędzie jeszcze zapuściło korzenie, rzeczą naturalną, że z różnicy pojęć musiała się wyrodzić walka, o której nie można wątpić, że się stanie twardą i zaciętą.

Do takiej to właśnie walki gotuje się obecnie i społeczeństwo lwowskie.

Wiedeński giełdowy szwindel nie tylko, że kraj nasz odarł materyalnie, ale uczynił nam daleko jeszcze większą szkodę, bo wprowadził do nas żywioły i pojęcia, które nam wyrządzają stokroć straszniejszą szkodę moralną. Różnej nazwy wzbogacona hołota pod płaszczykiem humanitaryzmu, postępu i pracy organicznej zdoławszy obałamucić nawet wielce poważne umysły, uzyskać wiarę i zaufanie, gdy nabyła przekonania, że pojęcia o tem, co godziwe i niegodziwe, giną w nurtach mętnych wód i stają się coraz niewyraźniejsze, stworzywszy sobie całą legię zwolenników postanowiła opanować wszystkie stanowiska władzy, któreby jej dozwoliły rządzić dowolnie.

Nie chcemy tu powtarzać tych grzechów, jakich dopuściliśmy się w czasie naszego autonomicznego żywota, gdyż szereg nieprawidłowości, które zrodziły nasza dobroduszność, nieoględność i brak zastanowienia, są powszechnie znanemi. Przysłowie: „*nie bądź bocianem*“, którego nie mogła zrodzić słoneczna jasność ale tylko podszepty złego ducha w chwilach upadku narodu — przysłowie to i dla nas nie przyniosło zbawiennych korzyści, bo ułatwia dotąd jeszcze czynności żywiołów nam szkodliwych.

W ostatnich latach Rada stołecznego miasta Lwowa zwróciła na siebie powszechną uwagę a większość obywateli mówiła głośno: „tak dalej być nie może!“

Nikt się nie łudził ani wątpił, że w Radzie miasta zrodził się żywioł, który usiłował wziąć Lwów w arendę i rządzić nim jak swoją wyłączną własnością. Zręcznemi operacyami, porozumiewaniem i obietnicami nareszcie usiłowała pewna znana klika wprowadzić rodzaj dyktatury, któraby otwarła wszystkie drogi do dowolnej gospodarki. Niedziw więc, że jedna część Rady stawała się powolnem narzędziem — a druga „*dla świętej zgody*“, nie miała cywilnej odwagi, aby stanąć twardo do walki i nazywać czyny po nazwisku.

Arenda stołeczna była siebie tak pewną i tak lekceważyła opinię publiczną, że nawet nie przypuszczała, aby mogła być wysadzoną i aby ktośkolwiek odważył się pozbawić jej monopolu rządów.

Gdy przyszła sprawa nowych wyborów, byli arendarze przekonani, iż dosyć im zohydzić stronnictwo „Łączności i Zgody“ dosyć napiętnować „*zacofaniem*“, „*kołtuństwem*“, aby utrwalić nadal panowanie. Tak się jednak nie stało, albowiem uczciwość obywatelska wzięła górę i usunęła na bok *powagi*, które były tego przekonania, iż na czas żywota zostaną nienaruszalne w Radzie miasta.

Lecz i tu ich nadzieje omyliły, gdyż tak zwane stronnictwo Łączności i Zgody zwyciężyło przewagą inteligencyi miejskiej i żaden uczciwy obywatel, mający tylko ogólne dobro miasta na celu, nie uważa za uchybienie honorowi osobistemu głosować z przedmieściami. Jak po wrażeniach trzęsienia ziemi, obudziły się na drugi dzień pseudopowagi i pseudotrybuni i nie mogą pojąć, co się z niemi stało, w co się obróciły ich dyrektorstwo i osobiste nadzieje.

Opanowała ich niema wściekłość i przerażenie. Było to zanadto wielkie upokorzenie, aby je tego rodzaju ambicye mogły przyjąć jako następstwo swych czynów.

Związano się w sojusz i postanowiono podkopywać, burzyć i zohydzać nową Radę, odejmując tejże nie tylko pojęcie wszelkiej wiedzy, ale i uczciwości.

Ktokolwiek miał sposobność lub chciałby takowej poszukać, biorąc spis nazwisk starej Rady a obecnej, przekona się, że stosunek ludzi, których specyalnością jest wykształcenie wyższe bankowe, nie jest w obecnym składzie mniejszy od tego, jaki był w ubiegłem trzechleciu.

Pozostaje więc pytanie, że użyjemy języka „Dziennika polskiego“, jakiego teraz w poczuciu osobistej arystokracyi używa, czy jest i może być jaka różnica pomiędzy obywatelem lwowskim szewcem, krawcem, kowalem, ślusarzem, bednarzem, który zasiada jako radny w tej kadencyi — a pomiędzy tymi, co zasiadali w przeszłem trzechleciu?

Zapytujemy, czy wielce szanowni obywatele jak pp. Bałutowscy, Wieczyńscy, Aleksandrowicze i inni, różnili się w czemkolwiek od swoich teraźniejszych kolegów w Radzie miasta? Zdaje nam się, że nawet od razu nie byli tak bogaci, jak są obecnie. Że tak samo zmuszeni byli nabywać praktyki radzieckiej jak ich teraźniejsi następcy. Przekonani nawet jesteśmy, że niema dotąd aparatu, któryby od razu wydawał na świat doświadczonych Radnych miasta. Chodziłoby jeszcze o uczciwość; no, to nieposądzając o nic złego byłych ojców miasta, nie mamy również powodu czynienia zarzutów tym, którzy sobie na to nie zasłużyli.

Jeżeli więc ktoś chcąc teraźniejszą Radę zohydzać, podsuwa jej *zacofanie*, kołtuństwo i inne jakieś nieujęte grzechy, których niby w przeszłym składzie Rady nie widział, to postępuje nie słusznie — bodaj czy nie nieuczciwie.

Dzięki naszej *uczciwości* dziennikarskiej panuje dotychczas w wielu stronach kraju przekonanie, jakoby nowa Rada miasta Lwowa składała się z *Onufrych* podług pierwowzoru „Szczutka“, tego *strzelca z po za płotu*, który na rzecz czyjąś tak długo pracuje, jak długo odbiera hojną nagrodę.

Na tym to koniku jeździ redakcya „Gazety Narodowej“, która aż dwoma członkami była w starej Radzie reprezentowaną, oprócz licznego sztabu krawców, blacharzy i familiantów. A były to dobre czasy, gdyż można było nietylko upiec często dla siebie smaczną pieczonkę, ale było się i Janem, który torował drogę — bankierom. Dzisiaj niestety, gdy głos Jana wołającego na puszczy lwowskiej: „*we mnie tylko wierz i przy mnie, królu twym, stój narodzie*“— stracił wszelki walor, to i akredytywa bankierska musiała się stać nader problematyczną i ograniczoną. Leżało więc i leży w interesie

„Gazety Narodowej“, aby za jaką bądź cenę przyjść znowu do znaczenia we Lwowie. Czy się to uda, śmiemy wątpić, gdyż mało jest tak naiwnych, aby w te przestarzałe kunsztyki uwierzyli.

„Dziennik Polski“, który (oprócz kroniki niedzielnej) stracił zupełnie swą powagę i zszarzał się gorzej od szmaty, którą się brudne stoły ściera, uważał za stosowne i najpraktyczniejsze, aby podczas wyborów dać sobie buzi z Narodówką i działać wspólnie. Dwulicowa maska była jednak tak niefortunnie użyta, że teraz nawet szukanie popularności i kokietowanie z tak nazwanemi „kołtunami“ stało się nietylko bezowocne, ale nawet niebezpieczne.

Dzisiaj nie imponuje już nikomu madejowska maczuga, gdyż każdy uczciwy człowiek śmieje jej się w oczy, bo wie, po ile łokieć sumienia obywatelskiego u takiej powagi. Dzisiaj sto razy może wołać: „czujesz!“ (znane hasło w „Dzienniku Polskim“), a nikt nie tylko nie czuje ale nie zwraca uwagi.

Wielce szanownej „Lembergerki“ nie bierzemy tu w rachunek, bo każdy wie, że: „tańcuj wrażę, jak pan każe“. — We Lwowie nie robi ona szkody. Na prowincyi, to rzecz inna — zacofany i wykolejony szlachcic (ale nie ogół szlachty) widzi tylko jedyny swój ratunek w tej urzędowo-lojalnej pani.

Jeżeli zregestrujemy wszystko złe, jakiemu było w naszej mocy zapobiedz, to nie powiemy fałszu, że w „Gazecie Narodowej“ i w „Dzienniku Polskim“ należy szukać winowajców nie lwowskich, ale narodowych.

Zwichnięcie i osłabienie opinii publicznej, wykoszlawienie pojęć o tem, co godziwe i niegodziwe, zniweczenie wszelkiej karności, otworzenie szerokich wrót żywiołom, które zacierają wszelką uczciwość narodową — komu mamy do zawdzięczenia, jeżeli nie naszemu dziennikarstwu?

Takiem postępowaniem straciło dziennikarstwo nasze wszelkie poszanowanie, mało kto liczy się z niem na seryo — prawie nikt nie ufa — a że dotąd wegetuje, to zawdzięcza tylko tym okolicznościom, iż nie ma nikt odwagi, aby na tem próchnie budować nowy gmach i ryzykować walkę, aby się w tem błocie augiaszowej stajni nie zanurzyć.

Nie można się dziwić, że po wyborach nowej Rady dziennikarstwo związane solidarnie ze starą Radą, a mianowicie z tymi jej członkami, z powodu których nastąpiła tak radykalna zmiana, nie weszło na drogę prawidłową, ale przystąpiło do sojuszu, którego hasłem jest zohydzenie i rozbicie nowej Rady. W środkach postanowiono nie wybierać a osławienie zdawało się łatwe, jeżeli obydwa „Timesy“ nadpełtwiańskie zespoliły się w duet harmonijny według przedłożonego planu.

Jak to już wyżej powiedzieliśmy, nowa Rada pod względem inteligencyi nie różni się niczem od starej. Jest różnica i to silna, ale tylko w pojęciach obywatelskich, któremi jeżeli pp. radni grzeszą, to z powodu otwartości nazywania rzeczy po nazwisku. Dalej grzeszą bezwzględnością, nie zważając na wszelkie osobiste widoki i rachuby, jakieby ktoś chciał w Radzie stawiać. Dotychczas nie można nowej Radzie zarzucić jakiegokolwiek nieobywatelskiego czynu, a jeżeli podniósł się głos nielicujący z zadaniem obywatela-Polaka, to został i zawsze zostanie skarcony.

Nowa Rada wiedziała o tem bardzo dobrze, że obejmując obowiązki, będzie miała niejedną trudność do zwalczenia, że najmniejsza usterka, najmniejsza pomyłka lub słowo nieoględne, na które przedtem nikt nie zważał, dzisiaj będą podnoszone, rozwałkowywane i w niebogłosy podniosą się krzyki, lecz nowa Rada nawet w obec takich okoliczności postanowiła wytrwać na stanowisku.

Stanowisko to jednak staje się tem trudniejsze, że wielce szanowny prezydent miasta, jakkolwiek jest mężem prawego i nieposzlakowanego charakteru a najszczerszych chęci, o których nie wątpimy, nie posiada już dzisiaj tej energii i tej natychmiastowej samodzielności, z jakich w żywocie swym był znany. Przewidywaliśmy tę trudność i ostrzegali wyborców, ale usiłowania starej Rady zwyciężyły i postawiły na czele miasta męża, który zapewne boleje, a jednak nie ma siły do ujęcia w karby złego. Stara Rada pozostawiła jako zarodek pewną część swoich, którym dziwić się można, iż mają tyle wytrwałości, aby podnosić i podżegać bratnią niezgodę. Dziwić się zaiste można, że nawet pomiędzy tem stronnictwem starego ducha są przecież ludzie, którym zależy na dobru miasta i współobywateli, a jednak solidaryzują się z niewczesną opozycyą i pomagają wyciągać kasztany z ognia.

Nowa Rada chcąc postępować logicznie, postanowiła przedewszystkiem położyć koniec dawnej niegospodarce i zaprowadzić na każdym kroku godziwą i możebną oszczędność. Postanowienie takie nie mogło się jednak podobać pewnym sferom urzędowym magistratu, które dotąd pozostawiane było niepraktykowanej gdzieindziej samodzielnościi samowoli. Gdy dawniej wszelkie roboty publiczne w mieście oddawane były na bona fides urzędników magistrackich, dzisiaj się zmieniła postać rzeczy, panowie radni przyjmując na siebie obowiązek służby miastu bezpłatnej, pilnują co się robi, gdzie, jak i po jakiej cenie. Taka kontrola, mianowicie w obec urzędu budowniczego, jest niesłychaną i bezprzykładną. Słowem psuje krew i humor pp. urzędnikom. Jak to być może, aby ktoś śmiał kontrolować? Tego dawniej nie bywało, a magistrat był i jest.

Postanowiono więc, jak to mówią, „iść na udry“, podnieść lament i żale na taką bezwzględną kontrolę, a w dodatku postępować wbrew wszelkim rozporządzeniom Rady. Chcąc osiągnąć cel zamierzony stało się koniecznością zohydzić tych członków nowej Rady, których uważa ogół za przewodników. Być może, że to, co czasami mówią tacy pp. radni, jak dr. Ciesielski lub prof. Jägermann, nie jest zawsze miłe, albowiem trafia w sedno i wyraża prawdę bez obwijania tejże w bawełnę; nie jest to potrawa smaczna, przeciwnie bardzo gorzka, niezważająca na nic, co stoi na uboczu.

Pomimo różnych czynników używanych do walki, zachowywano jednak pewne *decorum* aż do chwili uzupełniających wyborów, za pomocą których usiłowała stara Rada przynajmniej dwa działa Kruppa stawić na pozycyi na swą korzyść w sali Rady miejskiej. Lecz pomimo nadzwyczaj małego rozwinięcia działalności ze strony nowej Rady nie osiągnęła znana klika zwycięztwa, a taki despekt musiał ją już na serjo rozgniewać. Postanowiono więc nadal, aby na każdym kroku manifestować obrażenie godności, zanosić protesty przeciw terroryzmowi nowej Rady, głosić takową jako żywioł destrukcyjny, który co najmniej przynosi wstyd stolicy.

Że „Gazeta Narodowa“ a mianowicie „Dziennik Polski“ nie mało się przyczyniały do zdyskredytowania członków nowej Rady, nie ulega żadnej wątpliwości, gdyż w rzeczy samej pp. reporterzy tychże pism tendencyjnie przekręcali sprawozdania, a w dodatku od stołu sprawozdawców dziennikarskich w ratuszowej sali, pozwalali sobie często uwag, do których żaden sprawozdawca nie ma prawa.

Takiego postępowania nie mogli nadal członkowie nowej Rady puszczać płazem. Uznali więc za stosowne postawić wniosek, aby prezydent miasta w drodze, jaką będzie uważał za stosowną, zażądał od redakcyj, aby poleciły swym sprawozdawcom sumienne notowanie głosów z posiedzeń Rady, a dotyczyło to głównie „Gazety Narodowej“, której sprawozdawca rozmyślnie tendencyjnie zmienia treść posiedzeń Rady miasta.

Już ten sam fakt dowodzi, jak nisko upadło dziennikarstwo lwowskie, że Rada miasta aż do takiego kroku posunąć się zmuszoną była. Jest jednak wierutną nieprawdą, aby którykolwiek z członków Rady żądał, aby na dzienniki chciano takiem postąpieniem zaprowadzić rodzaj cenzury i aby takowe tylko „podawały nagie sprawozdania t. j. bez wyrażania opinii o mowach, postępowaniu radnych pojedynczych i uchwałach Rady miejskiej.“ To sprawozdanie i twierdzenie „Gazety Narodowej“ jest niczem innem, jak tylko jednym z tych fałszów, jakich się nieustannie dopuszcza, a na dowód tego przytaczamy, że gdy radny S. objawił mniej więcej swe zdanie podczas posiedzenia, o którem mowa, jakoby wniosek podnosił rzeczywiście myśl cenzury nad dziennikami, powstał natychmiast szan. dr. Milleret i z prawdziwem oburzeniem odparł to przypuszczenie. Sprawozdawcy jednak uważali za stosowne i uczciwe o tej odprawie zamilczeć. Natomiast nie wahano się ani chwili, aby jasno wypowiedziane zdanie przez dra Milleręta o „Gazecie Narodowej“ i „Dzienniku Polskim“ według zwyczaju swego p. sprawozdawcy poprzekręcać chcąc tem ubliżyć szanownemu i dobrze miastu zasłużonemu obywatelowi.

W rzeczy samej dr. Milleret wyrzekł, że nie czyta od dziesięciu lat dzienników, ale których? oto „Gazety Narodowej“ i „Dziennika polskiego“, to jest tych, które się sponiewierały same w pamiętny sposób przed kratkami sądów przysięgłych; gdy poznał szczególniej „Gazety narodowej“ tajniki i jej operacye, od tego czasu zabrakło mu cywilnej odwagi, aby te pisma wziąć kiedykolwiek do ręki. Zapatrywanie dra Milleręta, na dziennikarstwo lwowskie nie jest bynajmniej odosobnione, znamy wielu i bardzo zacnych obywateli, którzy dzienników lwowskich wcale nie trzymają, lub gdy takowe zmuszeni są wziąć do ręki, to nie bez uczucia pewnego wstrętu.

„Jak dalece“ więc mógł ktoś upaść, to zapewne „nie ciało reprezentacyjne stolicy 6cio miljonowego kraju“ — ale **Redakcya „Gazety Narodowej“** — od której Rada miasta żąda, aby tylko objektywnych sprawozdań nie fałszowała, a zresztą zostawia jej wolne pole „do zamieszczania krytyki mów, postępowania i uchwał Rady“.

Od tej chwili „Gazeta Narodowa“ i „Dziennik Polski“ — jak brat i siostra, rozpoczęły kampanię i ziejąc codziennie właściwej szlachetności jadem rozpoczynają kronikę codzienną od Rady miasta. A dopuszczają się nawet tak idjotycznych bredni, że grożą nawet — rozwiązaniem Rady. W rzeczy samej, jeżeli Rada miasta wyrzekła tak jasno i stanowczo zdanie swe o dziennikarstwie lwowskiem, czy nie jest to dostatecznym powodem, aby Radę rozwiązać, a potem wprowadzić na nowo pp. Janów Dobrzańskich, Edwardów Simonów, Gubrynowiczów, Gromanów, Niemczynowskich itd.? Innych powodów do rozwiązania Rady miasta nie było dotąd i nie ma, krzyki takie Gazety Nar. i Dz. Pols. nikogo rozumnego nie zastraszą. Mogą się komu niepodobać przemówienia p. radnego Jägermana, ale aby miały posłużyć za materyał aż do rozwiązania, do twierdzenia takiego potrzeba więcej, aniżeli być naiwnym.

Wyborne sobie są Redakcye „Gazety Nar.“ i „Dziennika pols.“, które od

pewnego czasu dziwnie zarystokraciały i z wysokich Parnasów dziennikarskich mówią z dziwną ironją o tej „arystokracyi o d s z y d ł a i i g ł y“, do której nie tak dawno jeszcze pp. dziennikarze konkurowali jak do panny posażnej, ściskali te s a m e r ę c e z niezwykłem uwielbieniem i czuli się nader szczęśliwi, jeżeli mogli ucałować policzki arystokratów od szydła i igły, mianowicie wtedy, gdy im potrzeba było butów lub kapoty na kredyt — niespłacalny. Dzisiaj zmieniło się postępowanie i nie tylko G a z e t a n a r o d. zarystokraciała, ale nawet i D z i e n n i k p o l s k i, który, uzyskawszy byt u klamki pańskiej, nabył pańskich narowów i mówiąc o wniosku, przy nazwiskach dodaje w nawiasie szewc, krawiec i td., czego dawniej nie czynił. Niestety chybił celu, gdyż nikt się nie czuje obrażonym, — nadmieniamy tylko, że ta klamka pańska, z której żyje, jest daleko mniej arystokratyczną i nie znamy wypadku, aby o człowieku pracy jako o takim wyrażała się kiedykolwiek w niewłaściwy sposób. Nic to jednak dziwnego, gdyż lokaje czują daleko więcej pańskości w sobie aniżeli panowie.

Oprócz p. prof. Jägermana wybrały sobie „Gazeta narod.“ i „Dziennik pols.“ p. Wiedenia na kozła ofiarnego. Jaki być może do tego powód? trudno przecież posądzić p. Wiedenia o osobiste cele, jeżeli jest obywatelem zamożnym a będąc przez tyle lat budowniczym dziś ustąpił z tej areny i oddał pracę młodszym siłom. P. Wiedeń nie jest wprawdzie Cyceronem w wymowie, ale jest to stary szpak, doświadczony pracownik, którego na plewę nie złapiesz. W zakresie działalności urzędu budowniczego i robót publicznych miasta, zna wszystkie tajniki i czuje niemal jak trawa rośnie, a że jako radny ma obowiązek czuwania nad temi robotami, to nie dziw, że nie jest *persona grata* w magistrackim urzędzie budowniczym. Depce on niemal po piętach, pilnuje i liczy a wszelkie nieprawidłowości wytyka bezwzględnie. Gdy takiej kontroli urząd budowniczy i roboty publiczne dotąd nie znały, gdy oprócz p. Wiedenia jeszcze kilku innych radnych, tak samo jak on od nikogo niezależnych, niemających osobistego ale publiczne dobro miasta na celu, pilnują i kontrolują wszelkie roboty, niespuszczając ich na chwilę z oka nie można się dziwić, że to niektórym panom się nie podoba. Jest rzeczą zrozumiałą, że gdy w stotysięcznem mieście dyrektor budownictwa jest od 3. lat figurą nominalną, a tylko pobierającą rzeczywistą pensyę, musiał się do biur urzędu budowniczego wkraść nielad, którego być nie powinno. Moglibyśmy wiele wypadków przytoczyć, w których pp. urzędnicy odgrywają dziwnie samodzielną rolę i przywłaszczają sobie atrybucye, do których nie są i nie byli upoważnieni. Jeżeli więc taki p. Wiedeń widzi postępowanie, które przynosi szkodę miastu a żąda bezzwłocznego sprostowania, taka uwaga wywołuje krzyk a poturbowani moralnie lecą natychmiast po obronę do „Gazety Narodowej“ lub „Dziennika polsk.“

Faktem jest, że kontrola radnych już w pierwszem półroczu poczyniła znaczne oszczędności i wprowadza codziennie ład w gospodarce, a na jaki opór natrafia, posłuchajmy przynajmniej jednego wypadku.

Do brukowania ulic sprowadza się w kamieniołomach przygotowane kostki jako materyał skończony. Kostki te są kwadratowe ale oprócz tej formy są niezbędne kostki trójgraniaste, które również stanowią dosyć znaczną cyfrę. Jest rzeczą jasną, że kostki trójgraniaste powinne być równocześnie z kwadratowemi przygotowane w kamieniołomach. Na ten pomysł nie wpadł jednak ani p. dyrektor, ani żaden z technicznych urzędników biura budowniczego. P. Wiedeń spostrzegłszy, że te trójgraniaste kostki roztłukują się dopiero na miejscu podczas brukowania z kostek kwadratowych, rzeczą naturalną, — marnotrawstwa tego pominąć nie mógł i już od kilku miesięcy zażądał, aby w kamieniołomie obrabiano równie i trójgraniaste kostki. Uwagi tej jednak urząd budowniczy dotąd nie uwzględnił, gdyż strata, jaką miasto ztąd ponosi, byuajmniej go nie boli.

Faktem jest, że oszczędności spowodowane przez kontrolę radnych umożebniły nie tylko wykonanie robót, mianowicie brukarskich podług kosztorysu urzędu budowniczego, ale za te oszczędności przebudowują się i inne ulice. Zadalekobyśmy zaszli, aby na tem miejscu przytaczać wszystkie fakta dokonane, znajdziemy na to czas i miejsce później.

„Gazeta Nar.“ i „Dziennik Polski“ donoszą a raczej trąbią o skandalicznym procesie karnym z emfazą trybunów, donoszą o nieobywatelskiem postąpieniu p. Wiedenia, który na publicznem posiedzeniu Rady miał nazwać „urzędników magistratu złodziejami.“ Ponieważ sprawa ta, inscenowana przez pewnych urzędników urzędu budowniczego, którzy namówili i sforsowali dróżników i innych robotników do skargi przeciw p. Wiedeniowi, odbędzie się 5. sierpnia, nie chcemy przebiegu tejże uprzedzać, lecz już teraz jest nam wolno wypowiedzieć, że p. Wiedeń na posiedzeniu Rady kradzieży nikomu nie zarzucił. Postępowanie pp. urzędników oddziału budowniczego wraz z oceną charakteru tychże wyjaśni się dosadnie, przekonani jesteśmy bowiem, że p. Wiedeń dostarczy dowodów i świadków.

Zmuszeni jesteśmy jeszcze wrócić do prawdy sprawozdań „Gazety Nar.“, dotyczącej wniosku p. Jägermanna. Otóż gdy p. radny dr. Mileret, jak sama „Gazeta Narod.“ mówi: „podnosi wysoko znaczenie dziennikarstwa, porównywa je z kapłaństwem chrześciańskiem“, a dalej przekręca znowu po swojemu sprawozdanie, gdy p. radny Świsterski występuje przeciwko wnioskowi, zabiera później głos p. r. Lewandowski. Słowa te przytacza „Gazeta Nar.“ jak następuje: „radny Lewandowski ubolewa, że moralność publiczna u p a d ł a tak nizko“.

Otóż przemówienie pana L. brzmiało rzeczywiście jak następuje: „Ja sądzę, że moralność publiczna nie upadła jeszcze tak głęboko, ażeby tak skromne nasze życzenie przedstawione przez prezydenta redakcjom dzienników nie odniosło pożądanego skutku“.

W rzeczy samej na taką odwagę przekręcania rozmyślnego może się jedynie zdobyć członek redakcyi „Gazety Narodowej“ we Lwowie.

Nie chcemy się wdawać w dalsze objaśnienia, gdyż przeważna część obywateli lwowskich, a powiemy największa, zanadto jest rozsądną i zna ujemne tajniki stolicy, aby nie wiedziała, do czego dążą „Gezeta Nar.“ i „Dziennik Polski“.

Redakcye te utraciły we Lwowie wszelkie znaczenie, wszelką powagę, wszelką wiarę i stoją odosobnione, a jeżeli się ktoś z niemi solidaryzuje, to albo nie zna ich rzeczywistego charakteru, lub też potrzebne mu są do poparcia osobistych celów nie mających nic wspólnego z dobrem publicznem.

Słowem, „Gazeta Nar.“ i „Dziennik Polski“ nie mają już żadnych podstaw, aby uzyskać jakiekolwiek znaczenie i odegrać odpowiednią dziennikarstwu polskiemu rolę. Na ich plewę złapać się może tylko bardzo młody wróbel. Takie zdanie staje się coraz ogólniejsze nietylko we Lwowie, ale i w całym kraju.

Wszelkie krzyki chociażby niewiedzieć jak spotęgowane, chociażby nawet miały przybrać do sojuszu swego tak „s z l a c h e t n e g o s t r z e l c a z z a p ł o t u“, jakim jest „Szczutek“, ten jeneralny faktor łowiący ryby w mętnej wodzie i zacięty obrońca upadłych i zszarzanych wielkości, przeważna część nowej Rady nie da się zbić z tropu, postępować będzie jak dotąd tak i nadal z poczuciem sumienia obywatelskiego i działać uczciwie, po polsku, dla dobra miasta.

Dziennikom nie tylko wolno, lecz nawet powinny krytykować wszelkie sprawy społeczne, wszakże sumienność i uczciwość nie dozwala nikomu przekręcać i fałszować przebiegu obrad i tego słusznie nie tylko każdy obywatel pojedyńczy, ale i ciało zbiorowe domagać się ma prawo.

Na zakończenie musimy jeszcze dać próbkę tego, ale dzienniki lwowskie nie pomijają nawet najmniejszej sposobności, aby publiczność wprowadzać w błąd i spaczać opinię o nowej Radzie. Tak więc gdy w rzeczy samej postawiono wniosek, aby magistrat tych dróżników, którzy się dali namówić do wytoczenia procesu karnego p. Wiedeniowi, dzienniki podały tylko ośmnastu radnych nazwiska, podpisanych na wniosku, gdy przeciwnie podpisów jest 24. Pomiędzy podpisanymi czytaliśmy nazwisko p. prof. Zacharjewicza, który jednak obałamucony po czwartkowem posiedzeniu Rady (a więc w tydzień później) wykreślił swój podpis. Przyznać się musimy, że nas fakt ten zdziwił, gdyż p. prof. Zacharjewicz należy do zbyt poważnych ludzi, aby podpisując wniosek wraz z innymi kolegami z Rady uczynił to bezwiednie i bez zastanowienia. Jeżeli więc następnie usiłowano przedstawić mu sprawę w innem świetle, to nie powinien się był p. Zacharjewicz dać powodować dwom lub trzem głosom i nazwiska swego nie wykreślać. Jesteśmy prawie przekonani, że po procesie 5. sierpnia, gdy świadkowie zmuszeni będą zaprzysięgnąć prawdę, p. prof. Zacharjewiczowi nic innego nie pozostanie, jak uderzyć się w piersi i przyznać, że się dał obałamucić.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny J. N. z Oleksowa Gniewosz. Z drukarni Anny Waydowicz (pt. Poremby), Rynek l. 9.
Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.